Nr. 13. Lwów, dnia 1. Maja 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** zlr., półrocznie **3** zlr. kwartalnie **1** zł. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów.

W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie:** każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

— Mylisz się, panie Scholtz! Ja trochę lepiej rachuję. Ujście, jakkolwiek jest zaniedbane, mogłoby na subhaście dojść nawet do miljona talarów, a że dotąd ciąży na niem, wraz z mojemi kapitałami, niespełna pół miljona, więc drugie tyle trzeba by jeszcze dodać. I nie koniec na tem. Ktokolwiek kupi ten majątek, musi w nim zaraz postawić kilka większych budynków i porządną gorzelnię, prócz tego trzeba jezioro spuścić o pięćdziesiąt centymetrów, aby nadbrzeżnych łąk nie podtapiało, za co współwłaściciel jeziora, p. Miliński, kazałby sobie niewątpliwie dobrze zapłacić, nakoniec należałoby także pola zdrenować. Wkład zatem w Ujście, prócz ceny kupna, wyniósłby jeszcze najmniej sto tysięcy talarów.

— Dla pana barona to drobnostka.

— Tak ci się zdaje, panie Scholtz. O gotówkę nie tak znowu dziś łatwo, a prócz tego zechciej i to mieć na uwadze, że moje fabryki potrzebują także sporo grosza obrotowego.

— Szkodaby jednak było, gdyby Ujście nabył kto inny, nie pan baron.

— Sądzisz więc, panie Scholtz, że on tego majątku nie utrzyma?

— O tem nawet mowy nie ma — zapytany odpowiedział. — U nas wydatki zawsze były większe niż dochody i dopiero w ostatnich czasach położenie zaczynało się trochę poprawiać, hrabia Leonard bowiem jest znudzony, przeżyty i niby wciąż chory, odkąd więc w Ujściu zamieszkał, bez porównania mniej wydawał niż dawniej. Ale teraz, po przyjeździe starego hrabiego, o oszczędnościach znowu mowy nie będzie. Zresztą kto potrafił tak obdłużyć dochody swego majoratu, że teraz feniga z tamtąd nie ma, ten do lat kilku da Ujściu radę. Szkoda by więc było panie baronie tak pięknego majątku.

— Żałować go nie potrzebujemy, bo przecie żaden polak go nie kupi, tylko niemiec. A czy nowy dziedzic będzie nazywał się Zarnecke, czy Schuster, to na jedno wyjdzie, zawsze wielka nasza ojczyzna na tem zyska, jeżeli dwadzieścia tysięcy morgów odbierzemy człowiekowi, który ostentacyjnie nie przyznaje się do naszej narodowości. Wszak młody hrabia nie chce, by go za niemca poczytywano?

— Jak by mógł chcieć tego, skoro nas tak dalece nienawidzi, że nawet służbę ma po większej części francuzką. Wielkie jeszcze szczęście, że mnie dotąd znosi.

— Nienawidzi nas, nienawidzi ten błazen! — mówił baron jakby do siebie, po pokoju chodząc. — Zobaczymy, jak długo będzie to mógł czynić na naszej ziemi niemieckiej. Nie ja kupię, kupi inny, ale on ztąd pójść musi! Nienawidzi nas ten pokurcz polsko-francuzki!.. Wiesz co, panie Scholtz — zawołał, przed gościem stając — pieniądze, po które przyjechałeś, dostaniesz, bo czy dla siebie, czy dla innego, zawsze należy pracować... Przywieź mi jutro rewers na sześć tysięcy...

— Bardzo panu baronowi jestem wdzięczny.

— Nie ma za co, panie Scholtz. Nie robię tego ani dla ciebie, ani dla siebie, tylko dla naszej wielkiej ojczyzny, dla idei!

To powiedziawszy zadzwonił na służącą i kazał przynieść dwa świeże kufle piwa.

Gdy niedługo potem Scholtz uradowany od barona wychodził, spotkał jakąś figurę, niepokaźną, schyloną, która we drzwiach go mijała. Scholtz chwycił prędko za kapelusz i bokiem stanąwszy, by idącemu przejście ułatwić, zawołał z niskim ukłonem.

— Najuniżeńszy sługa pana barona! Najuniżeńszy!

Baron Fryderyk, gdyż on to był, nie uznał za stosowne spojrzeć na człowieka, który go tak witał, tylko ręką machnąwszy, wszedł do sieni.

— Dziwak, a przytem dumny nie do zniesienia!.. Ktoby myślał, że to polski łachman, a nie sprawiedliwy niemiec!.. Jaka różnica między tymi braćmi.

Tak Scholtz półgłosem mówił do siebie spiesząc do powozu, na którego koźle stangret niecierpliwił się oddawna.

XVI.

Już zmrok zapadał, gdy Silber dwór w Trzcińcu opuściwszy, znalazł się znowu na swoim wózku. Koń szedł prędko, zachęcany do biegu nie tyle słowem ile batogiem. Silber bowiem przed nocą chciał wrócić do domu, a wpierw potrzebował jeszcze wstąpić do Komarowa.

Gdy służąca weszła do pokoju barona, by go uwiadomić o przyjeździe spóźnionego gościa, zastała u niego brata starszego, br. Fryderyka. Ten ledwie usłyszał, kto przyjechał, wstał i zaraz ku drzwiom się zwrócił.

— Cóż to, uciekasz?

— Wiesz przecie, że nie lubię tej figury.

— Czy dla tego że żyd?

— Dla tego że mu nie ufam.

— A mnie się zdaje, Fryderyku, że ty tylko tak mówisz.. Chociaż pragniesz być kosmopolitą, w głębi duszy czujesz niechęć do wszystkich żydów, jedynie za to, że są semitami.

— Mylisz się, mój Maurycy — odrzekł brat ku drzwiom postępując — w człowieku cenię charakter, nie rasę.

To powiedziawszy wyszedł.

W kilka minut zjawił się Silber. Wszedł bez wahania, śmiało, jak człowiek obznajomiony dobrze z miejscowością i z tym, do którego przyjechał. Baron przywitał go tak samo jak Scholtza, ani zimno ani zbyt czule, po swojemu i obok siebie posadził.

— Dobry interes panie baronie, doskonały!— żyd pierwszy przemówił, ustami cmokając.

— Cóż takiego, jeśli wiedzieć wolno?

— Miliński potrzebuje pieniędzy.

— Potrzebuje? — baron powtórzył przeciągle i czoło zmarszczył. — Czy ten człowiek koniecznie musi zginąć?

— Pewnie, że musi... zresztą co za pożytek z takiego, który nie ma pieniędzy? Taki jest tylko ciężarem dla innych.

— A dużo on ich potrzebuje?

— Pięć tysięcy talarów. Przed chwilą byłem u niego, prosił, bym mu pożyczył, lecz jam mu nie mógł tego obiecać, bo nie mam gotówki. Przyrzekłem mu tylko pośrednictwo i to całkiem bezinteresownie, gdyż mam nadzieję, że za to pan baron o mnie nie zapomni.

— Ja? A cóż mnie to może obchodzić?

— Jak to? Więc pan baron chyba nie pamięta, cośmy przed rokiem uradzili? Wtedy usłyszałem w zaufaniu, że ilekroć Miliński będzie pieniędzy potrzebował, mogę tu przyjechać, ponieważ pan baron musi Trzciniec kupić.

— Żartowałem, panie Silber, żartowałem.

— Pan baron żartował? — żyd zapytał głowę przekrzywiając. — A to, że pan potem dwa razy pożyczył Milińskiemu, czy to także były żarty? Jeźli tak, to ja mu zaraz powiem, żeby nie oddawał, bo to nie były sprawiedliwe talary tylko żart.

Baron uśmiechnął się na tę uwagę.

— Mów, co ci się rzewnie podoba, panie Silber, a ja ci powtarzam, że o Trzcińcu nie myślę. Czy nie dość mam ziemi, nie dosyć fabryk, nie dosyć kłopotów? Ciekawym na co mi nowych.

Żyd zrobił minę na pół zdziwioną, na pół drwiącą.

— Doprawdy? Więc pan baron nie myśli o nowych interesach? Skoro tak, to zapewne i te pieniądze, które hrabia z Ujścia bierze od pana barona, nie są także rzetelne talary, tylko żarty. Ojoj! że też w każdym Prusaku musi być choć troszeczka z Bismarka.

Baron drgnął, brew zmarszczył i zrywając się z fotelu krzyknął:

— Jak pan śmiesz przemawiać do mnie w ten sposób? Czy nie wiesz, że człowiek, któregoś nazwisko wymienił, jest dziś pierwszym genjuszem świata?

— Przepraszam, niech się pan baron nie obraża, ale com ja tu tak złego powiedział? Przecie wszyscy wiedzą, że książę kanclerz jest najrozumniejszym człowiekiem na ziemi, jeźlim więc zrobił uwagę, że każdy Prusak ma trochę jego rozumu, tom chyba nie chciał im tem ubliżyć Niech się pan baron na mnie nie gniewa, możem się źle wyraził, lecz biednemu żydowi nie trzeba się dziwić... Przecie ja nie edukowany.

Podczas gdy Silber mówił, baron naprzeciwko niego stojąc w twarz mu się wpatrywał, jakby chciał się przekonać, czy nie kłamał. Zręcznie jednak umiał żyd swoje myśli ukryć, skoro przeni-

kliwe oko barona zawiodło go tym razem i on słowa usłyszane wziął za dobrą monetę.

— No, no, jeszcze dziś daruję — rzekł łagodniej — ale uważaj panie Silber, żeby ci się kiedy indziej nic podobnego nie wyrwało, bo mógłbyś na tem źle wyjść..

— Daję panu baronowi słowo honoru, że to mi się pierwszy i ostatni raz zdarzyło.

Po tych słowach w pokoju milczenie zaległo. Baron rozważał od czego zacząć; żyd bał się usta otworzyć, by nowej burzy nie wywołać. Nareszcie gospodarz pierwszy przemówił:

— Skoro pan Miliński potrzebuje, chętnie mu więc pomogę, bo jest sąsiadem pracowitym i uczciwym, którego należy wesprzeć. Żeby jednak ludzie nie sądzili, iż dla tego na Trzciniec pożyczam, że pragnę cały ten majątek zagarnąć, przeto tym razem dam mu pieniądze w innej formie, mianowicie: jako zaliczkę na przyszłoroczne produkta.

Żyd przysunął się z krzesłem i lewem uchem obrócił się ku mówiącemu, by żadnego słowa nie stracić.

— Na przyszłoroczne produkta? — mimowolnie powtórzył.

— Tak jest, na przyszłoroczne — baron potwierdził. — Pan Silber nie lubi robić interesów na tak długie terminy, bo jako kupiec i spekulant chcesz kilka razy do roku pieniądzmi obrócić, ale my gospodarze, nie jesteśmy tak wymagającymi. Ponieważ moja cukrownia potrzebuje znacznie więcej buraków, niż ich sam mogę wyprodukować, przeto powiedz panie Silber Milińskiemu, aby na przyszły rok obowiązał mi się dostarczyć dwadzieścia tysięcy centnarów buraków, a ja mu a conto rachunku zaliczę już teraz pięć tysięcy talarów. Za umiętne przeprowadzenie tego interesu, otrzymasz pan odemnie stosowne honorarjum..

— A te pięć tysięcy pan baron da bez procentu i bez żadnych zastrzeżeń?

— Tego nie powiedziałem. Co do procentu, może zeń zrezygnuję, jeżeli, ma się rozumieć, pan Miliński na to przystanie, człowiek to bowiem dumny i w sprawach finansowych wielce drażliwy, ale co do zastrzeżeń, to rzecz naturalna, że bez tych kontrakt nie może się obejść, bo nużbym dał pieniądze, a buraków nie widział?

— Rozumiem, rozumiem — mruknął Silber, jakby do siebie, przyczem ukosem zerknął na barona.

Ten stał przed nim poważny, a chociaż rysy miał wyraziste, niktby z nich nie wyczytał, co teraz myślał, tak cała jego fizjognomja była spokojna i obojętna.

Silber chwilę jeszcze posiedział, przyrzekł wrócić nazajutrz, by sprawę zaczętą finalnie ukończyć, pożegnał się i odjechał. Gdy był już na szosie, obejrzał się po za siebie, jakby się chciał upewnić, że go nikt nie goni, potem batem konia z całej siły uderzywszy, półgłosem zaczął mówić:

— Jak on się za to obraził, żem mu prawdę powiedział! On chciałby udawać bardzo porządnego, a tymczasem to majster!... Nie pożyczy, ale da na produkta.. Rozumiem, rozumiem... On go lepiej tem złapie, niż pożyczką.. O! Silber nie głupi, wie na czem to się skończy. Straszny człowiek, straszny! I nie tylko on sam taki, wszyscy oni jednakowi. Z nimi nawet żyd nie poradzi. Polacy chcą, żebyśmy się ich trzymali, a szli na Prusaka. Dobry interes, doskonały! W takim interesie można stracić nie tylko procent lecz i cały kapitał, bo wtedy taki jeden pruski baron zjadłby sto naszych!... Straszny człowiek i niebezpieczny. Ale trudna rada, skoro źle, trzeba być pokornym, głupiego udawać a trzymać zawsze z mocniejszym.

Podczas gdy Silber do domu wracając, układa plan dalszego postępowania tak z Żołędziakiem, jak z p. Milińskim i baronem, ten ostatni, powtarza dosłownie żonie przy kolacji dzisiejszą swoją rozmowę z obydwoma gośćmi.

Baronowa była osobą gospodarną, skromną i roztropną. Mimo wyższego stanowiska w społeczeństwie, które mężowi zawdzięczała i znacznej fortuny, po rodzicach odziedziczonej, była do dnia dzisiejszego mieszczanką niemiecką, pracowitą jak każda sługa, niewymagającą, jak każda matka dbałą o swoje dzieci, przytem rozumną jak adwokat. W ogólności zasługiwała tylko na pochwały. Wprawdzie za jej lat młodszych, nie jedna z przyjaciółek na ucho drugiej opowiadała, że baronowa miała tak dobre serce, iż niem obdzielała prócz swego męża, także jego przyjaciół, młodych poruczników od huzarów, ale ponieważ rzeczy tego rodzaju w społeczeństwie, wśród którego żyła, często się powtarzały, przeto zgorszenia nigdy nie było. Gdy synowie dorośli, a miała ich trzech, jeden był porucznikiem, dwaj młodsi na uniwersytecie w Berlinie, zupełnie ustatkowała się i teraz sąsiedzi niemcy, którzy w Komarowie bywali, poczytywali ją za wzorową gospodynię domu i najlepszą żonę. Mąż zawsze ją kochał i zawsze jej ufał.

Chociaż baronowa nie otrzymała wyższego wykształcenia, brak ten niknął zupełnie w obec rozumu prawdziwie męzkiego, którym z natury była obdarzona. Mąż należycie oceniając ten jej przymiot, nie zrobił nigdy ważniejszego interesu, wpierw jej rady nie zasięgnąwszy, a że dwie dobre głowy, więcej znaczą niż jedna, przeto cokolwiek potem przedsiębrał, zawsze mu się udawało. Jej współudział w interesach, miał jeszcze i tę dobrą stronę, że każdej chwili dokładnie wiedziała, jak stoją ich sprawy majątkowe, dzięki czemu w największym nawet nieszczęściu, na przykład w razie nagłej śmierci męża, nie byłaby rąk opuściła.

Wysłuchawszy męża zapytała:

— Czy w rzeczy samej było by nam trudno Waldusch kupić?

— Jak dotąd, nie rozporządzamy jeszcze tak znaczną gotówką, chyba żeby Fryderyk chciał także do tego interesu przystąpić.

— Trzeba z nim o tem pomówić.

— Uczynię to przy najbliższej sposobności, chociaż wątpię, czy ten dziwak przystanie na moją propozycję.

— Czemu by nie miał przystać?

— Bo ma on rozmaite skrupuły, z których jeden od drugiego jest śmieszniejszy. Ale mniejsza o to! Choćby nawet Fryderyk nie chciał, to kto wie czy z czasem ja sam nie zrobię tego interesu... pomyślę o nim.. Wszak teraz można łatwo dostać nawet znaczniejsze kapitały na dwa procent... W każdym jednak razie sprawa cała potrzebuje głębszego zastanowienia, zresztą i czasu, hrabia bowiem, jakkolwiek ciągle bankrutuje, dotąd jeszcze stoi. Szybciej pójdzie z Milińskim. O ile mi się zdaje, ten do roku będzie gotów. Pieniądze weźmie, bo mu nikt inny nie da, a buraków nie odstawi, gdyż u siebie nie może ich tyle wyprodukować.

— Czy Trzciniec uważasz za majątek korzystny?

— Jak dla nas, przedstawia on wartość niezmierną, nigdzie nie ma lepszego miejsca na wielki młyn parowy, o którym jak wiesz, oddawna marzę.

— Ileż to krzyku będzie, jak Trzciniec kupimy! — żona z uśmiechem zauważyła, podnosząc do ust kufel z piwem

— Co nas obchodzi ta polska hołota!..—mąż pogardliwie odrzucił.

Oboje się zamyślili. Potem baronowa pierwsza przemówiła:

— Jakby to ładnie było, gdybyśmy Genselberg zostawili Karolowi, Trzciniec z młynem i jeszcze choć jednę wioskę Maurycemu, Arnoldowi zaś Waldusch.

— Że też ty, kotko, ciągniesz zawsze za swoim ukochanym—rzekł mąż z uśmiechem, szczypiąc żonę w rumiany policzek. — Arnold wyszedłby doskonale, sam Waldusch bowiem wart więcej niż cała reszta. No, no, pomówimy jeszcze o tem, byleśmy wpierw nasze zamiary osiągnęli.

— Ja wszystkie dzieci równo kocham — żona odrzekła — a że dla Arnolda mam trochę więcej słabości, toć dziwić mi się nie można... przecie to nasz pierworodny. Zresztą jako najstarszy, będzie głową rodziny, i z czasem wyrobisz mu prawdopodobnie majorat.

— Zapewne... zapewne. Jest to myśl, z którą noszę się oddawna.

Małżonkowie nie długo już razem siedzieli. Baronowa zadzwoniwszy na sługę, kazała jej pozbierać naczynie ze stołu, sama resztki mięsiwa schowała do kredensu, który stał w pokoju, poczem zbliżyła się do męża i w rękę go pocałowała, mówiąc:

— Dobranoc.

Mąż pogłaskał żonę po twarzy, życząc jej także dobrej nocy

Ona poszła jeszcze zobaczyć, co się w kuchni działo; on udał się do swego pokoju, by napisać kilka ważnych listów, które miały odejść nazajutrz rano.

Gdy w godzinę później, znużeni całodzienną pracą i bezustannem o przyszłości myśleniem, pod pierzynami usypiali, tak jedno, jak drugie o tem tylko myślało, żeby kiedyś prócz Trzcińca i Walduschu cała także okolica do nich należała bo dopiero wtedy każdy ich syn byłby miljonerem.

Tak ptaki drapieżne, gdy w gnieździe do snu się układają, myślą o zdobyczy, po którą puszczą się nazajutrz. I marząc o niej, nie troszczą się o te stworzenia, co przez własną nieostrożność lub słabość padną ich ofiarą. Drapieżnik nie na to żyje, żeby drugim szkodził; on dla tego innym szkodzi, że sam żyć potrzebuje. Cokolwiek też czyni, czyni z musu, słuchając popędu natury, rozkazu tej siły tajemniczej, która na każdem stworzeniu wycisnęła pieczęć z napisem:

— Będziesz takiem, a nie innem!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Usiadł obok niej, a uderzając pieszczotliwie po jej rękach, spytał słodziutko:

— Powiedz, moja malutka! Czy kochasz też bodaj odrobinę naszego opiekuna? Tak, czy nie?

Zdecydowała się skinąć głową potwierdzająco; kosztowało ją to niemal tyle, co i długa odpowiedź, tak jej ciężyło na sercu to wszystko, o czem się przed chwilą dowiedziała.

— Ach! byłoby krzyczącą niesprawiedliwością, nie kochać naszego poczciwego opiekuna, bo on przecież nie jest dla nas najgorszym. Ot, popatrz tylko.

Wyjął z kieszeni małe pudełeczko safianowe, kładąc przed nią, a potem zaczął mówić tonem dziecinnym, pieszczotliwym, jakim się zwykle malców uspokaja:

— Otwórz tylko moja malutka, moje ty pieścidełko. A co tam jest? Oho! co takiego? Śliczny słoń ze srebra. Jest to klejnocik według ostatniej mody, który nasz opiekun, myślący zawsze, czem by mógł nam zrobić przyjemność, kupił właśnie w Paryżu, na miejsce owego krzyżyka na naszej piersi. Ten wieczny krzyżyk, moje pieścidełko, drażni cokolwiek tego opiekuna, drażni go nawet niesłychanie. Czyż jeszcze wolno nam wątpić, że ten poczciwiec jest nam szczerze przychylny? On, który nie wie, gdzie głowę podzieć, tyle ma zawsze interesów do zała-

twienia, myśli jeszcze o kupowaniu dla nas ślicznych, modnych klejnocików. Czyż by to się godziło, sprawić tak wielką przykrość temu poczciwcowi, który poświęca się dla nas, który pragnie z nas zrobić wielką damę, który nam wyszukał prawdziwego markiza, markiza na dwadzieścia cztery karaty! Pfe, to byłoby bardzo brzydko, moja malutka!

Miał prawie łzy w oczach, i dziwił się niesłychanie, że ich nie mógł dopatrzeć w Jetty źrenicach, które w tej chwili były zupełnie czarne. Nikt by nawet nie pomyślał, że czasem bywają niebieskie. Patrzyła na słonia, a mimo iż był cały ze srebra, kły zaś miał z kości słoniowej, oczy tej niewdzięcznicy suchemi pozostały. — „To kamień nie serce!“ — powiedział sobie w duchu. Nagle, jakby umysł jego olśniła błyskawica, znowu ton zmienił i wykrzyknął patetycznie:

— A mój wybór! mój wybór!

Nie mogła zrozumieć, co może mieć wspólnego wybór do rady municypalnej w Paryżu, z jej sprawą; wkrótce jednak to pojęła.

— Jestem pewny, Jetto, żeś ani pomyślała o moim wyborze. Nie biorę ci tego za złe; młode dziewczęta nie wiele myślą o sprawach podobnych. Mają swoje troski i kłopoty specjalne, przy których zapominają o interesach państwowych. Przypuśćmy jednak moje pieścidełko... to przypuszczenie dreszczem mię na wskróś przejmuje! przypuśćmy zatem, iż upierasz się przy składaniu ślubów, które, powtarzam, są najzupełniej przeciwne duchowi i paragrafom kodeksu cywilnego, przypuśćmy, że jak to stare... chciałem powiedzieć, że jak matka Amelja, zaciągniesz się pod sztandary czarnych zastępów i przypuśćmy również, że dnia pewnego, na zebraniu wyborczem, jeden z moich wyborców powstanie i zainterpeluje w te słowa obywatela Ludwika Cantarel: — Obywatelu, miałeś sierotę pod twoją opieką, cóżeś z niej uczynił? — Ah! moja najmilsza, byłbym człowiekiem zgubionym, zaprzepaszczonym, zdmuchniętym z powierzchni ziemskiej, rozbitkiem na pełnem morzu!

Nie wątpił, iż skamienieje na ten ostatni argument, bo on sam czuł się nim spiorunowany i powtarzał w równych odstępach:

— Mój wybór! mój wybór!

— Posłuchaj tylko! mówiliśmy przed chwilą o twoim dziadku, Antonim. Chcę wierzyć, że poważał matkę Amelję; nie możesz jednak zaprzeczyć, że był ateuszem, ty wiesz o tem najlepiej. Ja ateuszem nie jestem, wierzę w Boga po mojemu, w Boga Jana — Jakóba, w Boga Robespierre'a, w boga świeckiego, całkiem świeckiego.. Antoni zaś w nic a nic nie wierzył. Pomyśl teraz czyby ci ten szczery ateusz był majątek zostawiał, gdyby mógł był przypuścić, że grosz przez niego mozolnie zebrany, zbogaci klasztory, a właściwie Jezuitów? Boć w każdem takiem zgromadzeniu, na spodzie w worku, domacasz się Jezuitów. Czyż ośmielisz się utrzymywać, że odmawiając ręki panu de Moisieux, nie zdradzasz tem samem i nie sprzeciwiasz się woli testatora?.. Z ręką na sercu, Jetto, czy będziesz śmiała się z tem odezwać?

— Mój dziadek, Antoni — wtrąciła z całą słodyczą — napisał w testamencie, iż chce uwzględnić moją własną wolę i zdaje mi się zresztą, mój drogi opiekunie, że zostawił mi dwa lata do namysłu.

Sądził, iż ją przekonał, pobił, unicestwił swoją wymową złotoustą. A ona jeszcze się opiera Rozjuszony zerwał jej krzyżyk z szyi i krzyknął z całej siły:

— Ten krzyż jest mi wstrętny! tak głupio wygląda! Nie chcę go więcej widzieć i żądam, żebyś go zastąpiła natychmiast kupionym przezemnie słoniem.

Zasadził gwałtownie kapelusz na głowę:

— Ah! dziadek Antoni chciał uszanować twoją wolność?.. Do stu djabłów! toć i ja ci zostawiam wolną wolę i z tego powodu daję ci dwadzieścia cztery godzin do namysłu!

Wyszedł drzwiami trzasnąwszy.

W czasie obiadu pienił się ze złości i był w humorze nie do zniesienia; zawracał oczami jak w konwulsjach i po to li usta otwierał, aby zgromić ostro którego ze służby. Myślał bezustanku o bolesnym zawodzie, którego dozna margrabina, dowiedziawszy się o porażce na całej linii o wyrzutach któremi go zasypie najniezawodniej, o odroczeniu na czas nieograniczony jego nadziei. Jakże długo będzie zmuszony jeszcze usychać z tęsknoty, na progu tego raju, do którego mu drzwi cokolwiek uchylono i wzdychać nadaremnie do słodkich rozkoszy, o których myśl sama dreszczem go przejmowała od stóp aż do głowy. Nie przypuszczał, iż jego głowa jest jakby przeźroczystą, dla zaspanych na pozór oczów jego małżonki i że ta patrzy na niego jak w tęczę, z pod powiek na pół przymkniętych. W tej chwili odgadywała jego troski, jego cierpienia, jego wściekłość, a to niepowodzenie, którego doświadczył, przenosiło ją w siódme niebo! Zaledwie wstał od stołu, poleciał zamknąć się w swoim pokoju, wyrzekłszy się nawet najmilszej partji bezika. Usiadł przy biurku i napisał bilecik tej treści:

„Moja najdroższa Margrabino! Sprawa nie pójdzie tak gładko, będzie z nią trochę zakrętaniny. Ta głupia mała powiedziała „nie.“ Licz jednak na mnie, że się to jakoś zrobi. Nie będzie powiedziano, że jedna taka mniszka mogła by zwyciężyć Ludwika Cantarel! Gdyby miała za sobą nawet dziesięć tysięcy Jezuitów, uporamy się z nią przecie!“

Służący odniósł odpowiedź w tych słowach:

„Kochany Sąsiedzie! To, co mi donosisz, zmartwiło mnie ale bynajmniej nie zdziwiło. W życiu nigdy prawie nic się tak nie układa, jak sobie życzymy. Starajmy się wspólnemi siłami wyczekiwać cierpliwie chwili sposobniejszej. Jutro sąsiad będziesz u nas na obiedzie. We troje ułożymy dalszy plan kampanji!“

Podczas gdy mała poczta biegła z zamku do szaletu, pani de Moisieux i napowrót, Jetta pisała długo i szeroko do matki Amelji, opowiadając co zaszło i błagając usilnie o jej radę i pomoc w tym wypadku Potem przeszła do salonu, gdzie zastała jak zwykle panią Cantarel Ta wiecznie zaspana istota, a której bystrej uwadze i krytyce nic jednak nie uchodziło, spytała ją nagle:

— Cóż to za okropność powiesiłaś sobie na szyi, moja droga? W skutek tego byłam roztargnioną przez cały objad.. Jesteś zatem skazaną na słonie? wydana na pastwę dzikim zwierzętom?

— Kara, na którą w zupełności zasłużyłam — odpowiedziała z uśmiechem panna Maulabret.

Przerabiały drut za drutem przez dobrą godzinę, słowa nie przemówiwszy. W chwili gdy miały się obie udać na spoczynek:

— Zdaje się panno Maulabret, że masz silny charakter—mruknęła z cicha pani Cantarel — Nie wiem, czy mam

ci czego winszować... to taka dobra rzecz, zupełna obojętność. Koniec końców, dowiemy się kiedyś, która z naszych dwóch metod jest lepszą.

I ku najwyższemu zdziwieniu Jetty, która o mało na wznak nie upadła odurzona, pani Cantarel objęła ją ramieniem i w czoło pocałowała. Było to podziękowanie na jej sposób, za dzień szczęśliwy, który Jetta jej zgotowała.

Nazajutrz przechadzała się zwolna po parku, medytując nad całą tą nader smutną awanturą i myśląc z trwogą o ciężkich walkach, które ją jeszcze czekają, gdy tuż za plecami głos usłyszała

— Jetto! moja śliczotko!...

Zaledwie miała czas głowę odwrócić, znalazła się w ramionach pani de Moisieux, która tuląc ją do łona, posadziła przemocą obok siebie na ławce, i zaczęła trzepać bez odetchnienia:

— Ani słowa! Słuchaj mnie i nic nie odpowiadaj. Wyrzuty sumienia nie pozwoliły mi oka zmrużyć przez noc całą. Gdy kur piał po raz drugi, ja jeszcze rozmyślałam nad przykrością, którą ci zadałam mimowolnie. Wiesz przecie, ile cię kocham, a jednak z mojej niejako przyczyny, napastywano cię i dręczono. Pan Cantarel jest najuczynniejszym sąsiadem na całym świecie, bierze atoli nadto do serca sprawy swoich przyjaciół i jestem pewna, że o wiele więcej sobie pozwolił, niż ja mu poleciłam. Ani słowa! Ja teraz mówię. Zresztą zasługuję na wybaczliwość. Matki są tak słabe, a mój syn tak zakochany. Nigdy się jeszcze nie kochał, zbiera owoce swoich oszczędności. Ach, twoje piękne oczy, sprawiają w sercach spustoszenia przerażające. Zapałał dla ciebie miłością z której z trudnością przyjdzie mu się wyleczyć. Bądź jednak spokojna, potrafi milczeć tak samo jak i ja. Rozprawa zamknięta, więcej o niczem nie będziesz słyszała. Nawzajem, proszę cię o dwie łaski. Najprzód błagam usilnie, postępuj i nadal z nami jak gdyby nic nigdy nie zaszło; byłabym bowiem niepocieszoną, jeżeli bym musiała wyrzec się twojego najmilszego towarzystwa.. I jeszcze coś drugiego. Masz skrupuły, wątpliwości, które umiem głęboko uszanować. Z czasem jednak można się zmienić.. Za trzy miesiące, za cztery, dajmy na to, zasiądziemy razem na tej tu ławeczce a ja się spytam: — Czyś nie namyśliłaś się inaczej? Czy zechcesz nas teraz? — Na co odpowiesz „tak“ lub „nie“ jak ci się będzie zdawało. Widzisz, żem sobie zostawiła furteczkę z boku. Tak się ze mną dzieje, jak z moim biednym kioskiem, któremu wsadzono pod sam nos mur obrzydliwy. Pan Cantarel mi zaproponował, żeby mur zastąpić kratą żelazną, na długość kilku metrów. Przyjęłam, rada, iż zobaczę przynajmniej trochę zieleni i koguta wyzłacanego na dzwonnicy... Moje drogie dziecię! nie zasłaniaj murem nieprzebitym nadziei. Pozwól patrzeć w przyszłość przez kratę przeźroczystą... Ani słowa! czytam w twoich oczkach, że przystajesz, za co dziękuję ci najczulej sercem matki i sercem przyjaciółki.

Potem ucałowała ją ogniście w oba policzki i frunęła ziemi prawie nie dotykając, zostawiwszy Jettę trochę pocieszoną, chociaż trapiło ją nieme przyzwolenie, które jej podstępem wydarto. Kraty żelazne mają ten wielki atoli przymiot, iż nigdy się nie otwierają.

Gdy margrabina, pan Cantarel i Gaston, usiedli do objadu, można było ich wziąć za trzech jenerałów nazajutrz po bitwie przegranej; porażka była na ich czołach wypisaną. Pan Cantarel spuścił uszy po sobie; jego smutek był zmięszany ze złością i głębokiem upokorzeniem. Pani de Moisieux niosła lżej na ramionach ciężar zawodu doznanego; znała ona doskonale zwyżki i zniżki na giełdzie życiowej, jej odwaga nie upadała i nie opuszczała rąk ze zniechęceniem, dla lada wypadku nieprzewidzianego. Natomiast Gaston był jednocześnie przerażony, zgryziony i wściekły. Patrzał w przyszłość z zupełną ufnością, nie wątpił ani chwili o świetnem powodzeniu, spotkał go też zawód najboleśniejszy. Pozieleniał więcej niż kiedykolwiek i był by chętnie zdusił mieszczaneczkę, która ośmieliła się dać w twarz markizowi. Nie myślał jednak rozstać się tak łatwo z błogą nadzieją; jego upór dorównywał olbrzymiej próżności.

Odesłano Larę przed wetami, aby swobodniej porozmawiać; przezorność udaremniona, drzwi bowiem w szalecie były dość cienkie, a uszy greckie słyszą jak trawa rośnie! Gaston rozpoczął wtedy długą litanję, rozsypał się klnąc i wyrzekając, jak dzieciak rozpuszczony, któremu nie chcą zdjąć księżyca z nieba. Powtarzał wciąż do uprzykrzenia:

— Ja ją chcę mieć, ja ją będę miał!

— Ba! ma się rozumieć — odrzucił pan Cantarel. — Zostaw mnie to wszystko i nie martw się niczem. Jeżeliby nie szło inaczej, zmuszę ją i koniec!

— Na co ja nigdy nie przystanę! — zaprotestowała margrabina. — Widziałam się przed chwilą z panną Maulabret i obiecałam jej czekać cierpliwie dopóki się inaczej nie namyśli.

Gaston uniósł się. Oświadczył iż tak samo, jak pan Cantarel, wierzy li w przymus, pogardzając pól-środkami. Ładne dziewczęta zdobywa się najłatwiej ciągłem oblężeniem, z dodatkiem gróźb i napaści.

— Znam ja kobiety — plótł dalej — lubią żeby się z niemi obchodzić po żołniersku, z laską do góry. Ot, naprzykład, była jedna w New-Jorku, prawie tak ładna jak Jetta. Ah mój Boże! gdybym się z nią był zabawiał w układanie jakichś tam punktów przedugodnych..

Margrabina była tak rozdrażniona głupotą tego bałwana, że przerwała mu gwałtownie, mimo obecności pana Cantarel i rzuciła mu w oczy pytanie pogardliwe:

— Była to napewne jakaś kelnerka z szynku.. Nieprawdaż?

— Przysięgam mamie że była żoną bankiera.

— I dostałeś ją w ręce?—wtrącił pan Cantarel.

— Rozchodziło się zaledwie o kilka sekund. Na nieszczęście mąż...

— Zostaw nas głupcze w spokoju, z twoimi bankierami i bankierowemi!—krzyknęła margrabina. — A ja wam mówię, że ta młoda dziewczyna pod minką łagodną niewiniątka, kryje wolę niezłomną.

— Mniszka, mniszka prawdziwa! — zawołał pan Cantarel. — Rączki złożone, oczy na ostatni guzik, a na czole stępel z fabryki Jezuitów. Oto, w co obrócą Francję, jeżeli się z nimi nie zrobi porządku. Biedna Francja!

— I Jezuitów zostawmy na boku—margrabina wzruszyła ramionami—tak samo jak bankierowe w New-Yorku, a wróćmy do naszej sprawy. Mojem zdaniem, to biedne dziecię, ma skrupuły, których nie zwalczy się przymusem ani groźbą; więcej wskóramy uszanowując zrazu takowe. Wiesz co, kochany sąsiedzie. Popełniliśmy błąd wielki, sprowadzając ją do tej naszej pustelni. Pustelnia usposabia li do rozmyślań i ekstazy. Wywieź ją czemprędzej, przynajmniej na miesiąc do Paryża. To miejsce wyborne, aby leczyć ze lękliwe zbytniej drażliwości, serca i sumienia.

— Zobaczy się tam z tem starem straszydłem.

— Z kimże takim?

— Ach Boże! z matką Amelją.

— To już pańska rzecz o tem pomyśleć. Pchnij ją pan tylko w wir światowy, prowadź ją z częsta do teatru Nie ma jak teatr, aby przytępić wszelkie skrupuły.

Pan Cantarel ani chciał słyszeć zrazu o czemś podobnem. Była to wielka ofiara z jego strony, zrzec się na cały długi miesiąc bezika i słodkich wieczorów, sam na sam spędzanych, tem bardziej, iż od pewnego czasu uczuwał niepokój dziwny i nieokreślony, z którym nie śmiał się zwierzyć nikomu. Uległ nareszcie, spodziewał się jednak, iż ta ofiara z jego strony warta bodaj jakiejś nagrody i czekał z upomnieniem się o nią, żeby Gaston się ulotnił nareszcie. Na nieszczęście Gaston dostał rozkaz najsurowszy, żeby z placu nie ustępował; pani de Moisieux chciała go mieć na warcie do ostatka. Musiała przecież użyć bodaj do czegoś lubego synalka.

Nareszcie znudzony śmiertelnie, pan Cantarel zabrał się jak niepyszny około północy, przeklinając swój los fatalny. Otwierał właśnie furtkę, łączącą ogródek margrabiny z jego dziedzińcem, gdy spora grudka ziemi, rzucona silną dłonią, uderzyła o jego kapelusz i zrzuciła mu go z głowy, prosto w fosę, zamek otaczającą. Zaczął kląć na czem świat stoi, wroga niewidomego, który pozwalał sobie podobnych wybryków z jego dostojną osobą. Gdyby był się puścił między krzaki, byłby tam może zobaczył przyczajonego pewnego Greczynka.

Gastona zwolniono z posterunku obserwacyjnego, udał się więc do swego pokoju, zaprowiantowawszy się cichaczem w butelkę rumu. Na dnie tej buteleczki, zdołał złożyć na kilka godzin swoje troski, swoją miłość, swoje nadzieje najboleśniej zawiedzione, swoje zamki na lodzie i swoje dwie sfory. Trafił do łóżka z pewną trudnością, na które padł nie rozebrany. Nazajutrz jednak, zobaczył u wezgłowia swoje charciuki popielate i wyżły czarne z białem, które czekały na jego przebudzenie.

— Trochę cierpliwości dziatki—szepnął — Jeżeli dyplomacja mojej mamy spali na panewce, wtedy spróbujemy czegoś innego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

Jedno tylko można mu było zarzucić, przyjaźń wierną dla lorda Fitz-Gerald. Nie taił się wcale z tem uczuciem. Przeciwnie oświadczał się z niem wszędzie, czem sobie zjednywał coraz więcej sympatji i uznania w kołach angielskiej arystokracji.

— Oto mój cel! — szczerze wyznawał w pałacu Leinster. — Każdy walczy i pracuje jak umie! Obecnie ta jedna broń mi pozostała!

A tak mu się na tem polu świetnie powodziło, iż potrafił zjednać sobie lub przynajmniej cokolwiek ugłaskać dzikiego przewódcę Czarnych Huzarów, barona von Homspach; potrafił przeciągnąć na swoją stronę nawet lorda Cornwalis, urzędnika zasad najsurowszych i najmniej przystępnego a najbardziej sztywnego z całej angielskiej arystokracji.

Jeden sir Reginald opierał się stale jego wszechwładnemu urokowi. Są instynkta mimowolne, których nie możemy opanować, choćbyśmy sobie nawet dokładnej sprawy z nich zdać nie umieli. Tankredowi zaś najwięcej właśnie zależało na uspokojeniu i zjednaniu dla swoich celów tajemnych, tego serca zazdrością udręczonego. Któż mógł mu w danym razie skuteczniej dopomódz, niż syn rodzony wicekróla? Aby uzyskać przyjaźń i zaufanie Reginalda, zachowywał się w obec Łucji nader ostrożnie, był z nią na stopie niemal etykietalnej. Za to dla sir Reginalda nie szczędził dowodów najżywszej sympatji, okazywał się jawnie przyjacielem i wielbicielem jego prawości i rycerskości, ufając iż prędzej czy później potrafi go rozruszać i przekonać o swojej najszczerszej przyjaźni.

Dnia pewnego, gdy sir Reginald oddał wizytę hrabiemu, ten skorzystał ze sposobności, żeby wymówić młodemu pułkownikowi z wrodzoną sobie otwartością, brak zaufania:

— Czynię, co mogę — kończył Tankred — żeby przyjaźń twoją sir pozyskać, a czuję instynktowo, iż jest coś między nami, czego nie mogę z drogi usunąć.

— Myślę — odrzekł dumnie i z goryczą Reginald — iż panu hrabiemu powinno li zależeć na względach naszych lady, do których umizgasz się bez wyjątku.

— Przepraszam, jest wyjątek! — Tankred żywo zaprotestował. — Jednej tylko dotąd nie odważyłem się i nie odważę szepnąć słówka czulszego, bo czczę jej świętą niewinność i umiem uszanować prawa miłości dawniejszej, tak czułej i wylanej, na jaką to dziecię czarowne zasługuje.

— Mówisz to szczerze, panie hrabio? — badał syn wicekróla.

Tankred z dumą się wyprostował;

— Naszą dewizą sir: „Ani zdradą ani kłamstwem!“ Czyż nie czytasz jej w moich oczach?

W rzeczy samej, taka prawość biła z oczu promienistych hrabiego, że Reginald musiał kapitulować. Porwał Tankreda za obie ręce i namiętnie je uścisnął

— Ah! — zawołał z głębi serca. — Zgadłeś hrabio! byłem zazdrośny! Teraz byłoby to świętokradztwem nie ufać takiemu, jak ty, sir, przyjacielowi i takiej jak Łucja narzeczonej!.. Tak, to istny anioł! Ah! gdybyś mógł zrozumieć jak ja kocham!..

— Rozumiem! — szepnął Tankred, raczej sam do siebie, niż do niego.

— Nie! nie! — mówił dalej Reginald. — Ty, sir, nigdy takiej miłości pojąć nie zdołasz! Tyś na cztery wiatry rzucał słówka czułe, przysięgałeś wierność i stałość na prawo i na lewo, a nazajutrz, jak po szampanie wytrzeźwiałeś się, i przysięgi z serca ulatywały. U was, Francuzów, głowa się zapala, opanowuje szał zmysłowy, lubicie miłostki łatwe, przelotne... dziś ta.. jutro tamta... Ja przeciwnie kocham sercem, duszą całą! Dla Łucji serce moje po raz pierwszy uderzyło, dla niej uderzy po raz ostatni Do niej ono należy wyłącznie. To uczucie! to miłość, która skończyć się tylko może wraz z życiem, bo bez niej jużbym dziś żyć nie potrafił!

Mówił spokojnie, zwolna, głosu wcale nie podnosząc. Czuło się jednak wzruszenie głębokie, czuło się przywią-

zanie bez granic, zdolne do wszelkich ofiar. Hrabiego dreszcz przeszedł i nawzajem uścisnął sardecznie dłoń przyjaciela.

— I mój ojciec wie o tem dobrze — mówił dalej Reginald — Nie śmiał mi powiedzieć wprost, że nasz ślub zostanie odroczony, bo radby zerwać wszelkie z tym domem stosunki. Gdy go błagałem o litość nad Edwardem, gdy zawołałem zrozpaczony: „Nie pozwolił byś mu ginąć pod kata toporem, gdyby jego siostra była już moją małżonką!“ — lord Cornwallis odpowiedział mi tylko wymijająco: — Na szczęście jeszcze nią nie jest. — Na co ja rzekłem z całem należnem uszanowaniem, ale nie mniej stanowczo: — Będzie nią mój ojcze! — Jeden drugiemu spojrzeliśmy w oczy, nie dodawszy ani słowa więcej Jest on tu panem wszechwładnym, tylko nie co do mojej miłości! Ah! hrabio kochany! nie mogę wypowiedzieć moich wszystkich trosk i cierpień! Trzeba mi wybaczyć trochę drażliwości i zazdrość mimowolną... Gdyby mnie znowu coś podobnego napaść miało, wyznam ci wszystko szczerze... słowo honoru!

I w rzeczy samej, ci dwaj ludzie, tak odmienni naturą i usposobieniem, byli odtąd najściślejszą przyjaźnią połączeni.

W pałacu Leinster Tankred miał się ciągle na baczności, co było z jego strony nie lada ofiarą. Obecność miss Lucji, samo nawet jej wspomnienie, miało dla niego urok niezwykły, którego nigdy dotąd nie doświadczył. — Tam byłoby szczęście prawdziwe! — w duchu powtarzał. — Ale tamten więcej jeszcze niż ja na to szczęście zasłużył. — Nawet w nieobecności narzeczonego, gdy ją zastawał samą zupełnie, nie wychodził poza granicę uczuć braterskich, pełnych szacunku. Raz, gdy były tylko dwie, ona i Kornelja, Lucja rzuciła od niechcenia z uśmiechem czarującym:

— Wiemy już obie, czyja dłoń wymierzyła pułkownikowi Armstrong karę oddawna mu się należącą.

Tankred drgnął zdziwiony, a zapewniwszy się, że nikt więcej prócz dwóch kuzynek słyszeć go nie może, bąknął wahająco:

— Był to pojedynek bez świadków... Jednemu się tylko z tem zwierzyłem...

— Jakóbowi — wtrąciła Lucja.

— Widziałaś go miss?

— Ja nie.. ale Kornelja.

Twarz blada Kornelji spłonęła nagle rumieńcem. Dawała znaki tajemne Lucji, aby ją zmusić do milczenia. Tankred przypomniał sobie gałązkę symboliczną.

— Dla czegoż nie chcesz mi pozwolić — Lucja przemówiła — żebym powinszowała i podziękowała hrabiemu za czyn bohaterski, który miał li na celu Edzia wyratowanie? Czyż Jack nie jest naszym, od lat dziecięcych przyjacielem, niemal bratem? Cóż w tem złego, że go czasem widujemy?

— Ah! tak? — wtrącił Tankred tonem badawczym.

— Chował się razem z moimi braćmi — kończyła Lucja — tu w tym domu, a w lecie w zamku Kildare. Ja bo wtedy zaledwie żyłam na świecie.. Pamiętam go jednak już później dorosłym mężczyzną, jak chętnie ze mną maleńką dzielił każdą zabawę, nosił na rękach, gotów choćby na największe niebezpieczeństwo, byle dogodzić każdemu kaprysowi, spełnić każde moje życzenie. On taki dobry! taki odważny!

— To prawda! — szepnęła Kornelja. — Dzielny! i najszlachetniejszy!

— Odjechał wreszcie do Ameryki i na długo słych o nim zaginął. Cała rodzina była tem zasmucona. Wszyscy go u nas szczerze kochali, ale najbardziej mój ojciec. Pamiętasz Kornelciu, jak książę lubił Jakóba?—Zapytana głową skinęła potakująco. — Kochany tatko — Łucja westchnęła—już się jego powrotu nie doczekał. Przyjęliśmy mimo to Jakóda jak dawniej. Później, zdawało się mamie, że źle wpływa na Edzia i do buntu go namiawia. Robiła mu z tego powodu ostre wymówki.. Jack znowu się gdzieś ulotnił. Kiedy niekiedy zjawiał się jednak w zamku Kildare. Sierota od lat najmlodszych, odemnie znacznie starsza, ma tem samem Kornelja więcej wolności. Jest przeto całkiem naturalne jej przywiązanie do Jakóba, którego uważała zawsze za brata starszego.

— Zawsze i mimo wszystkiego — potwierdziła namiętnie Kornelja. Zdawało się jakby mówiła sama do siebie. Była na pozór spokojna i poważna jak zwykle, tylko głos jej drżał wzruszeniem a wielkie czarne oczy dziwnym blaskiem jaśniały.

— Znowu jedna z tych miłości—Tankred pomyślał—które kończą się tylko z życiem. Nie pierwszy zresztą raz słyszał mówiących o Jakóbie, a raczej o *Wild-Irish.* Tak w klubie, jak w dziennikach imię to było często powtarzane przez niektórych z pobłażliwością i skrytą sympatją, przez ogół ze zgrozą i najwyższem oburzeniem. Lada chwila łudzili się nadzieją, że go zdołają pochwycić, on jednak wymykał się zręcznie z wszelkich zasadzek i wojował dalej z „królewskimi“. Nieraz też dał się we znaki i znacznie poturbował obcych jurgieltników. Widziano czarnych huzarów, wracających z Bog-Allen w stanie godnym litości, gdzie zrobili obławę na niego wśród obszernej przestrzeni torfiastej. Zamiast jego w szpony pochwycić, sami wpadli w pułapkę Część trzecia dzikiej hordy nie stawiła się więcej do apelu. Co do reszty, ta narzekając i kulejąc, powracała po same uszy obłocona i odpowiadała srogiemi przekleństwami na śmieszki i ucinki złośliwe, któremi witano po drodze jej powrót, bynajmniej, co prawda, nie wyglądający na pochód tryumfalny. Baron von Homspach wściekał się i powtarzał zębami zgrzytając: — Zemścimy się! roźwiertujemy łotra!—Rząd również nie próżnował. Tysiące plakatów porozlepianych, obiecywało wspaniałą nagrodę temu, ktoryby im oddał w ręce bandytę.

Pewnego wieczora hrabia wróciwszy z teatru, spostrzegł na pierwszy rzut oka, że Pat dziwnie jakoś wyglądał i tajemnicze stroił miny.

— Oh! — zawołał od-progu — wasza wysokość jest niecierpliwie oczekiwaną!

— Przez kogoż?

— Przez mnicha, z zakonu świętego Patrick'a, któremu wasza wysokość raczyłaś, ile się zdaje, udzielić po słuchania.

— Ja! Kiedyż to? i gdzie?

— W Kildare, jak mnie zapewniał. *Hillou!* ja bym myślał, że to się stało raczej w Gourgane-Barra...

Pat głos zniżył. Mrugał jednem okiem i uśmiechał się znacząco.

— Co to wszystko znaczy? — niecierpliwił się hrabia zrzucając płaszcz z ramion.

— Oh!—mruknął sługus—mnich zakapturzony po same brwi. A jednak poznać go łatwo. Wzrok mnie nie myli. To on.

— Jaki on?

— Mówię, że poprzylepiano ogłoszenia na wszystkich rogach ulic. Mówię, że jest u nas przysłowie...

— Jakie przysłowie? Co ty pleciesz?

— *Arrah!* — Pat tłumaczył. — Oto takie: „Wsadź na rożen Irlandczyka, a znajdziesz natychmiast drugiego, który będzie rożen obracał.“

— Cóż dalej?

— Tym razem przysłowie się nie sprawdziło. Niech sobie zdrowi lepią plakaty na plakaty! Dziesięć tysięcy funtów szterlingów! *Hillou!* nie lada pokusa! Pański majątek! Ale w naszej biednej Irlandji, gdzie tyle ginie śmiercią głodową, nie zdradzą go! Ani ja, ani nikt inny!.

— A więc to jest?

— Niech wasza wysokość niczego się nie lęka... Pat będzie dobrze pilnował!

XIX.
Niespodzianka.

Tankred skoczył do pokoju sypialnego i drzwi zamknął za sobą. Mnich siedział przed kominkiem, grzejąc ręce nad ogniskiem. Kaptur nie był mu już potrzebny jako maska, zrzucił go więc na plecy.

Była to w rzeczy samej głowa piękna, z wyrazem niepokonanej siły i energji *Wild-Irish'a*.

— Tyś w Dublinie? — hrabia wykrzyknął. — Co za nierozwaga?

— Ba! — machnął ręką lekceważąco. — Jestem przecie nieuchwytnym! Dostaną mię dopiero gdy sam zechcę.

— No! — roześmiał się hrabia wesoło — do czegoś podobnego brakuje każdemu chęci i ochoty.

— Kto wie? — szepnął Jakób tonem dziwnie smętnym i zagadkowym.

Patrząc sobie w oczy, serdecznie jeden drugiemu dłoń uścisnęli. Gość pierwszy się odezwał:

— Czy użyczysz mi hrabio chwilkę rozmowy?

— Tu jak i na ścieżce Skok Jeleni — Tankred wskazał mu ręką uprzejmie fotel obok kominka — jestem cały na pańskie usługi!

— W rzeczy samej? To mnie cieszy! Lękałem się, żeby atmosfera salonów angielskich nie wpłynęła oziębiająco na twoją dla mnie łaskawą życzliwość.

— Dla czego?

— *Wild-Irish* jest dla nich potworem, z piekła wyrzuconym. Nawet za takiego uważają mnie umiarkowani, którzy idą za hasłem wicekróla.

— W istocie — bąknął hrabia wahająco. — Widzą oni w panu główną zaporę i przeszkodę do przeprowadzenia ich systemu..

Ten frazes oburzył powstańca:

— Jakto? — zawołał z goryczą — znasz panie hrabio dzieje tego kraju nieszczęśliwego, patrzysz codziennie na okrucieństwa naszych cizmięzców i nie uderza cię w tej komedji, mającej nibyto na celu pojednanie poważnionych i uspokojenie umysłów, nie uderza cię, powtarzam, krwawa ironja, haniebna przewrotność i dwulicowość Anglików?

Tankred chciał zaprotestować, przynajmniej co do Reginalda. Gestem wymownym wstrzymał go jednak *Wild-Irish*, i tak dalej rzecz prowadził:

— Trochę łagodności w postępowaniu, odrobinę wolności i sprawiedliwości, a Irlandja byłaby o wszystkiem dawno zapomniała, gotową nawet byłaby wszystko przebaczyć. — Podczas wojny z Ameryką, czyż nie chwyciła za broń, w Anglji obronie? Porządek był wtedy przywrócony, wzburzone umysły dobrowolnie wszelkich buntów zaprzestały. Dla czego nas rozbrojono i do tego w sposób tak brutalny? Po co rozrzucono po wsiach i miasteczkach dzikich żołdaków, którzy stojąc na kwaterach, raczej podniecali ludność do zbrojnego powstania, znęcając się nad nią z wyrafinowanem okrucieństwem, niż przyczyniali się do kraju uspokojenia? Oni chcą wojny, zaręczam. I aby zmusić wieśniaka do podłej denuncjacji, wieszają go za nogi, przez pół duszą, biczują. Potem zaś sypią mu na rany sól z pieprzem Wszak to wszystko wielce zabawne!

Hrabia milczał, wiedział bowiem, iż ten obraz grozy pełen, jest prawdą najrzetelniejszą. Z uniesieniem coraz wzrastającem Jakób mówił dalej:

— Mają także jarmurkę ze smoły, za pomocą której zdzierają z czaszki włosy wraz ze skórą. Nie jest że to rodzaj skalpu, tak samo okrutny, jak sposób używany przez Unkasów? Czerwonoskóry czy Czerwonoumundurowani, huzary czy Mohikanie, nie mają sobie nic do wyrzucenia. Jedni, jak drudzy, są równie dzikimi kanibalami.

Nagle do drzwi zapukano.

— Pst! — Tankred palec na ustach położył. Odsunął zasówkę. Na progu ukazał się Pat wystraszony.

— Co się stało? — hrabia go zapytał.

— Patrol konny jedzie bulwarem — szepnął sługa. Zbliżanie się patrolu nie zaniepokoiło Jakóba.

— Przejadą — mruknął z cicha.

— A gdyby się zatrzymali? — Tankred szepnął.

— Przecie im się nie zameldowałem, że właśnie tutaj będę tej nocy! — odrzekł żartobliwie. — Zresztą, wkrótce się przekonamy. — Już są pod domem.

Pod oknami słychać było tętent kopyt końskich. — W świetle latarni płonącej koło domu, błyszczały zdaleka kaski metalowe. Oddalili się jednak bez zatrzymania.

— A widzisz, hrabio — Jakób machnął ręką. Potem zwróciwszy się do chłopca poczciwego, który rozradowany śmiał się teraz na całą gębę: — Dziękuję ci, żeś tak bacznie straż trzymał, — przemówił. — Nie ty sam jednak czuwałeś; sposobów do ucieczki nie braknie nigdy temu, którego wy nazywacie „Wielkim Mścicielem.“

— *Hillou!* — Pat strzepnął palcami — wiemy o tem od wieków.

Zegar bić zaczął.

— Tam do djabła!.. Już północ Jakób — wtrącił zliczywszy uderzenia.—Bardzo długo trwa wizyta nocna u ciebie panie hrabio. Czy pozwolisz mi uwiadomić kogoś?

— Proszę bardzo.

Wild-Irish wziął lampę ze stołu i powstawszy, nakreślił w powietrzu w oknie balkonowem znak krzyża.

— Krzyż płomienny! — Pat uważał za świętą powinność, wytłumaczyć ten znak na ucho swojemu panu. Jakób lampę postawił na dawnem miejscu.

— Uprzedzam cię, hrabio — uśmiechnął się nieznacznie — że zobaczysz niebawem postać dobrze ci znaną.

— Kogo to?

— Patrz tylko.

Gość wskazywał ręką na rzeki koryto. Daremnie jednak Tankred wzrok wytężał. Wybrzeże, fale rzeki, trotoar koło domu, wszystko było puste. Nigdzie też nie słyszało się szelestu najlżejszego. Nagle, niby zjawisko nadnaturalne, postać ludzka wskoczyła na balkon z kocią zwinnością a w szybie ukazała się twarz dzikiego.

— Unkas! — bąknął poznając go hrabia.

— Jezus Marja! — krzyknął Pat spiorunowany, jak gdyby ujrzał głowę Meduzy.

Rozmawiając na migi *Wild-Irish* wskazał kolejno ujście rzeki i część jej górną, jakby z zapytaniem czyli z nikąd nic nie grozi?

— Nic zgoła! — wyczytał w wymownych rysach Indjanina.

— Odejdź! — znaczył nowy znak Jakóba

Ze skrzywieniem, które miało wyrażać uśmiech przyjacielski, Unkas zniknął tak samo bez szelestu. Można było wziąć go za widmo, rozpływające się w powietrzu

— Zostaw nas samych – rozkazał Tankred słudze, który ulotnił się czemprędzej, w nadziei zapewne, iż zobaczy jeszcze może tę dziwną figurę, która mu takiego strachu napędziła. Po jego odejściu dwaj dżentelmeni usiedli na dawnych miejscach.

— O czem to mówiliśmy przed chwilą, panie hrabio?—odezwał się pierwszy Jakób.—Aha! o sławnym planie uspokojenia Irlandji. Kłamstwo wierutne, a w każdym razie złudne to marzenie!...

— Ma przynajmniej to jedno za sobą—przerwał mu Tankred — iż chroni tymczasowo i zapewnia nam całość lorda Edwarda.

Na to imię Jakób zadrżał, lecz natychmiast się uspokoił.

— Lord Edward—powtórzył z rozrzewnieniem.— Nie pojmiesz nigdy hrabio, jak ja go kocham. Wkrótce może będziesz miał tego dowód namacalny.

— Dowód?

— Przekonasz się w danym razie. Wtedy przynajmniej nie powiedzą, że go samochcąc kompromituję. Chwilowo, mimo wszelkich podburzań i zaczepek, Irlandja będzie spokojnie wyczekiwała. Umiemy być cierpliwi. Usłuchamy woli ostatniej Hoche'a.

— Czy tylko w rzeczy samej takeście udecydowali?

— Najniezawodniej. Głównym powodem dzisiejszych odwidzin, była chęć szczera zapewnienia cię o tem, panie hrabio

Tankred uścisnął dłoń Jakóba:

— Dzięki stokrotne! Dzięki w imieniu tych wszystkich, którzy, a raczej które interesują się losem lorda Edwarda!

— Obiecuję czekać, jednakowoż pod pewnemi warunkami — zastrzegł się *Wild-Irish*. — Przypuśćmy naprzykład..

— Cóż takiego?

— Wylądowanie armji francuskiej...

— Jakto? Miałżeby już jenerał Humbert?

— Oh! nie on jeszcze. Humbert musi być dopiero w Rochefort, lub w Brest, pomoc zaś, którą nam zapowiadają, ma nadejść od Północy.

— Od Północy?

— Czyś zapomniał hrabio, że przy schyłku swego życia, Hoche skoczył był do Holandji, aby przyspieszyć uzbrojenia republiki batawskiej, na naszą korzyść. Piętnaście tysięcy żołnierza doborowego i flota z wojskiem już z portu wyjechała. W tej chwili znajduje się na pełnem morzu.

— Czy to tylko pewna wiadomość?

— Najpewniejsza! Byle zbawcze okręty potrafiły szczęśliwie wyminąć kręcących się po oceanie piratów angielskich a przywiozą one ratunek nietylko dla wszystkich uwięzionych, ale i dla całej Irlandji

Mimo iż dzielny patrjota wstrzymywał się w zapale, był wspaniały z głową dumnie podniesioną, z okiem płomiennem, z wyrazem wiary niezachwianej na szlachetnem obliczu.

— Życzę wam tego z serca! — wtrącił Tankred — i to pierwsze zastrzeżenie przyjmuję bez dyskusji. Zobaczmy drugie!

Wild-Irish ponuro czoło zmarszczył:

— Powód drugi — westchnął ciężko. — Oh! po to dziś głównie przyszedłem!

— Mów że pan z łaski swojej!

Jakób szepnął głucho, jakby nie mógł z piersi ściśnionej głosu wydobyć.

— Gdyby Edward umarł w więzieniu, musiałbym go pomścić!

— Co też panu się dzieje? — hrabia żywo protestował.— Rana jego najpiękniej się goi, jest już rekowalescentem!

— Ułuda — zawołał Jakób tonem głębokiego przekonania — Cierpienia i tęsknota nieodłączna od kraty więziennej, zaogniają ranę coraz więcej i mogą wzniecić w niej jad śmiertelny... Wiem o tem napewno i możesz mi wierzyć panie hrabio.

— Nikt jednak nie ma do niego przystępu. Któż mógł pana uwiadomić o tem tak dokładnie.

— Ja sam... Przebrany za stróża więziennego, wszedłem do kaźni i widziałem go na własne oczy.

Tankred, ów Tankred odważny do szaleństwa, skamieniał.

— Ależ — zauważył po chwili milczenia — sir Reginald zapewnia...

Jakób nie dał mu dokończyć.

— Sir Reginald nie śmie niepokoić jeszcze więcej, już i tak biednych i stroskanych kobiet! Nie wiedząc jak je pocieszać, stara się kłamstwem pobożnem uspić ich trwogę śmiertelną. Wybadaj go jednak hrabio kategorycznie, zaklnij na słowo honoru, jak mężczyzna mężczyznę, a usłyszysz co ci odpowie!

— Ma się rozumieć, że zaraz jutro to uczynię! Musimy coś wynaleźć, aby Edwardowi przynieść ulgę w cierpieniach i od śmierci przedwczesnej go uratować. Bardzo proszę! Przecież nie po to siedzę w Dublinie, żeby iść za trumną lorda Edwarda! Co nie, to nie. — Tankred mówił teraz tonem człowieka, który wierzy, że skoro zechce, góry z jednego miejsca na drugie przeniesie.

— Doskonale! — Jakób zakończył. — Na ten głos z głębi serca płynący czekałem! Do dzieła, panie hrabio! Z góry sobie powiedzmy, że nie masz nic niepodobnego, dla poświęcenia prawdziwych przyjaciół. Jednemu z nas musi się poszczęścić. Do zobaczenia!

I *Wild-Irish*, po serdecznym braterskim uścisku, opuścił hrabiego mieszkanie. Tankred odprowadził go do bramy, Pat aż do ujścia rzeki.

Ten gdy wrócił, odezwał się z pewną wymówką do swojego pana:

— *Arrah*! Zobaczyłem znowu tę dziką bestję! Gdy pomyślę, że wasza wysokość mnie do małpy porównywała, mimowoli pytam: A do czegoż dopiero to licho podobne?

Hrabia nie był w usposobieniu do żartów i śmiechu. Spał bardzo źle. Widział ciągle przed sobą widmo lorda Edwarda dogorywającego i przez całą noc nie mógł się pozbyć tej zmory trapiącej.

Skoro była pora po temu, udał się do sir Reginalda. Młody pułkownik odjechał na inspekcją oddziału dragonów, stojących w Kildar załogą. Miał wrócić dopiero nazajutrz. Fatalny zbieg wypadków, opóźnienie nieuchronne, wszystko pomnażało niepokój hrabiego. Dzień wydał mu się długim jak wieczność. Nawet u księżnej był szczególnie zamyślony i roztargniony. Łucja prześladowała go ze śmiechem niewinnym. Gdyby mogła była odgadnąć powód jego nieprzytomności?

Wrócił do siebie późnym wieczorem. U Reginalda zostawił bilet a w nim prośbę usilną, żeby raczył mu donieść skoro powróci. Nie mogąc zasnąć, Tankred przechadzał się z pokoju do pokoju, od okna do okna, rozdrażniony, rozgorączkowany. Z okien był widok nietylko na bulwary i port morski, ale przez nagły zakręt rzeki można było rzucić okiem także na wielki rynek w Dublinie. Tankred spostrzegł tam niezwykłe ożywienie. Konne sztafety pędziły galopem w różnych kierunkach. Pałac wicekróla strojono w chorągwie i zaczynano we wszystkich oknach ustawiać płonące świeczniki, jakby do iluminacji. To samo działo się z innemi gmachami rządowemi. Armaty zagrały. Żołnierze snując się po mieście, wydawali okrzyki radośne, rycząc na całe gardło hymn zwycięstwa.

Wesołość ta jednak nie była ogólną.. nawet działo się wręcz przeciwnie. W magazynach, w domach prywatnych, panowały w okół ciemności i cisza głucha. Radość u jednych, wywoływała widocznie smutek u innych, albo przynajmniej bezsilną protestację. Pat wysłany na zwiady, wrócił niebawem, przerażony i zrozpaczony:

— *Ma Bouchal!* — krzyknął od progu — znowu wygrali Anglicy!

— Na kontynencie?

— Gdzie tam! Na morzu! Admirał Duncas zniszczył flotę Republiki batawskiej, która wiozła nam pomoc! żołnierzy! armaty!..

— Jakto?!... Ta więc armja?...

— Zatopiona!.. zniszczona!... Śladu po niej nie zostało!... *Hillo-hou*! Co też święty Patrick sobie myśli?! Od czego siedzi on tam w niebie tak wysoko?!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 29. Kwietnia 1888 r.

Sławny malarz grecki, Apelles, miał zwyczaj, że ilekroć jaki obraz wymalował, niezwłocznie wystawiał go w Atenach na widok publiczny, aby zaś wiedzieć co o nim ludzie mówić będą, chował się sam za niego i pilnie nadsłuchiwał. Zdarzyło się razu pewnego, że wystawił greczynkę wracającą z wodą do domu. Przyszli ludzie rozmaici i zaczęli robić swoje uwagi. Między nimi znalazł się także szewc, a że tego przedewszystkiem obuwie obchodziło, więc przypatrzywszy się sandałom, orzekł, iż nie były dobrze namalowane. Apelles wysłuchał krytyki i snać musiał ją uznać za słuszną, skoro nazajutrz wystawił obraz z poprawionemi sandałami. Szewc wrócił, a przypatrzywszy się drugi raz obuwiu, rzekł: Sandały teraz ujdą, ale za to lewa noga jest powyżej kostki źle uformowana. — Apelles, który to słyszał, wyszedł z ukrycia i zirytowany zawołał: „Niech każdy pilnuje swojego rzemiosła! Szewc niech pamięta o obuwiu a do anatomji niech się nie miesza!“ — Chociaż ta anegdota jest stara jak świat i wszyscy ją znamy ze szkół gimnazjalnych, mimo to znajdują się profesorowie uniwersytetu, którzy zapominają, jaki w niej tkwi sens moralny i lubo żadnych do tego nie mają kwalifikacyj chcą koniecznie odegrać rolę wybitną w naszej publicystyce. Od lat kilku, założone przez księgarza, śp. Łukaszewicza, wychodziło we Lwowie pisemko bardzo niewinne, bardzo wodniste i tromtadratyzmem mocno przesiąknięte, któremu dano na imię „*Ognisko domowe*“. Nie oświeciło ono nikogo, nawet nikogo nigdy nie ogrzało, ale ponieważ miało tendencję poczciwą, więc nie jeden czytelnik mógł się przy niem zdrzemnąć spokojnie. Po śmierci założyciela, „*Ognisko*“ przeszło na własność kilku ludzi, którym się zdawało, że „ruszą z posad bryłę świata i nowemi ją popchną tory“, a chociaż matka-przyroda odmówiła im rzeczy drobniutkiej talentu, mimo to przemawiali ciągle ex catedra i wielce się na ludzkość gniewali, że ich słuchać nie chciała. Nareszcie po kilkoletniem szamotaniu się „*Ognisko*“ zgasło i poszło na masło. Nie pisalibyśmy nic o tej nowej ofierze w świecie wydawniczym, nie jest bowiem naszym zwyczajem znęcać się nad niemowlętami, umierającemi czy to z braku krwi, czy też na suchoty, ale ostatni wydawca tej smutnej publikacji, zasłużył na nekrolog, postępowaniem bowiem swojem dowiódł, że współczucie do jego cnót nie należało. Z jakim to on przekąsem wyrażał się o każdem nowopowstającem piśmie, a z jaką radością witał śmierć każdego kolegi! Teraz przyszła kolej na niego samego i — niestety — nikt po nim nie płacze!...

Kto z was, Szanowni Czytelnicy, nie słyszał o „Obronie Sokołowa“ Morgenbessera? Pamiętam, że gdy temu lat trzydzieści, dostałem ów poemat w moje ręce, nie mogłem się od niego oderwać i nie zasnąłem, pókim go nie skończył. Fabuła nie była w nim nadzwyczaj zajmująca, ale autor umiał ją w tak wdzięczną oblec formę, że całość musiała się podobać. Prócz tego z każdego wiersza tryskał nasz poczciwy humor polski, nie bardzo wymuszony i niekiedy dość rubaszny, za to nikogo nie kolący. Obecnie wpadł mi w ręce drugi poemat p. Morgenbessera pt. „Jubileomania“. Przedmiot, jak widzicie, bardzo wdzięczny, nigdzie bowiem śmieszna ta choroba straszliwiej nie grasuje niż w naszej Galilei, wszelako jeźli satyra na ten temat napisana, ma wywrzeć wpływ jakikolwiek i błądzącym oczy otworzyć, musi być cięta, dowcipna i na motywach prawdziwych osnuta. Tymczasem w „Jubileomanji“ jest wszystko od początku do końca naciągnięte, niesmaczne, wymuszone i nienaturalne. Ludzi takich, jakich nam p. M. w tym poemacie przedstawił, nie ma nie tylko w Galicji, nawet między dzikimi mieszkańcami Wysp Fidżi napróżno byśmy ich szukali. O ile „Obrona Sokołowa“ była dobra o tyle „Jubileomania“ jest utworem poronionym, ale ponieważ autor pióra nie odkłada, więc miejmy nadzieję, że *Morgen* będzie *besser*.

p

PORADNIK DOMOWY.

Sklejanie przedmiotów porcelanowych.

Sklejanie przedmiotów porcelanowych, a głównie talerzy, polega na spojeniu odłamków ciałem. nie roztapiającem się wskutek gorąca, nie rozpuszczalnem w wodzie ani w kwasach, jakie znaleźć się mogą w potrawach. To też dążyć powinniśmy do tego, aby przy sklejaniu warunkom tym stało się zadość. W tym celu radzimy spróbować następującego sposobu, zalecającego się prostotą i tanością. Dwa białka od jajek ubić (wszakże nie na pianę), zmięszać je ze świeżym twarogiem, sproszkowanem wapnem niegaszonem i suchym proszkiem gipsowym, dodając to ciało w takiej ilości, jaka jest potrzebną do utworzenia masy ciastowatej. Natychmiast po utworzeniu się masy pociągnąć nią brzegi mających się spoić odłamków, mocno obwiązać je sznurkiem i wstawić pod blachę na 1—2-ch godzin. Piec nie powinien być zbyt gorący, w przeciwnym bowiem razie talerz może pęknąć. Z ciał, jakie używamy do uformowania kleju, tworzy się białkan wapnia, woda częścią pochłania się przez gips, częścią wyparowywa się w piecu. Ciała te tak mocno spajają, że przy dokładnem zastosowaniu powyższego sposobu, przedmiot, nawet w razie stłuczenia ponownego, na miejscu spojenia nie pęka.

Sposoby zapobieżenia sączeniu się z kurków.

Przy niedokładnem odpolerowaniu kurków, bądź to szklannych, bądź też mosiężnych, płyn, zamknięty w naczyniu, wysącza się kroplami na zewnątrz. Jeśli mocniejszem zaciśnięciem i zakręceniem kurka tamy temu przesiąkaniu położyć nie możemy, natenczas należy posmarować kurek następującą kompozycją: roztopić oddzielnie na ogniu dwie równe części gumy arabskiej i sadła, pomięszać je pierwej razem i do mięszaniny dodać trzecią część nadzwyczaj miałko utłuczonego grafitu. Masa ta daje odlewać się w wałki. W razie potrzeby nagrzewa się nieco wałek nad lampą i smaruje nim kurek na wszystkie boki. W tym samym celu może także służyć roztwór kauczukowy z małą domieszką grafitu; z ciał zaś pojedyńczych, nie wymagających żadnych uprzednich przygotowań, najskuteczniejszą jest parafina. Kurki zwyczajne, co do których zachodzićby mogła obawa, aby nie przepuszczały płynu szczególniej zaś płynów bardzo lotnych, należy przed zakurkowaniem posmarować roztopioną nad świecą parafiną.

Czyszczenie pieców kaflowych.

Czyszczenie pieców kaflowych uskutecznia się najlepiej szarem mydłem. Rozpuszcza się je w wodzie gorącej i zmywa się kafle, zwracając szczególną uwagę na miejsca splamione. Jeśli plamy nie ustępują w zupełności od wody z mydłem, nawet bardzo gęstej, w takim razie odwołujemy się do octu; ten ostatni rozciera się za pomocą gałganka. Ten sam sposób czyszczenia odnosi się do wszelkiego rodzaju przedmiotów z porcelany lub fajansu; tutaj jednak ocet i mydło bywają niekiedy bezsilne, a zdarza się to najczęściej wtenczas, gdy powyższe naczynia służyły nam do niektórych manipulacyj chemicznych, a szczególniej po wyparowaniu płynów, zawierających w roztworze zasady metaliczne. Powstałe stąd plamy niejako przenikają wewnątrz ścianek naczynia. Jedynym wtenczas sposobem wyrugowania ich jest kwas solny skoncentrowany lub woda królewska, stanowiąca połączenie jednej części kwasu saletrzanego z dwiema częściami kwasu solnego, które roztwarzają między innemi złoto i platynę. Sposoby te używają się w labolatorjach; przez nagrzewanie ich własność roztwarzania jeszcze się powiększa. Wobec więc jakiejś bardzo upartej plamy, bądź to na piecu, bądź na naczyniu, radzilibyśmy odwołać się do tego ostatniego środka. Na plamy żółte, którym zazwyczaj towarzyszą popękania, pochodzące od przepalenia kafli, środka, zdaje się, nie ma już żadnego.

Jak należy konserwować obrazy.

Bardzo wiele obrazów olejnych w świątyniach, zbiorach i domach prywatnych niszczeje częstokroć z bezpowrotną stratą dla sztuki z powodu nieumiejętnego ich oczyszczania. Podajemy tu sposób konserwacji obrazów, zalecony przez komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Wilgoć dla utworów pędzla jest najszkodliwszym czynnikiem: na obrazach, wystawionych na jej działanie, płótno lub drzewo gnije, farba zaś łuszczy się i pęka. Aby więc zachować obraz przed wilgocią, należy lekko obramować tylną stronę płótna drzewem, aby od ściany odstawało. Działanie słońca jest zgubne dla utworów pędzla, można je osłabić, zawieszając przed obrazem oponę, zasłaniając okna lub pociągając szyby farbą białawą i matową. O ile możności oddalać należy świece od obrazu; tłusty kopeć w połączeniu z kurzem i wilgocią tworzy materję lepką, która w krótkim czasie niszczy świetność kolorytu. Kurz i ślady wilgoci powinny być usuwane jaknajczęściej za pomocą starej cienkiej bielizny lub starego fularu. Wreszcie odnawianie obrazów należy powierzać wytrawnym specjalistom, nie zaś samouczkom, którzy, jak to najczęściej bywa, niszczą i zatracają pierwotną wartość danego dzieła sztuki.

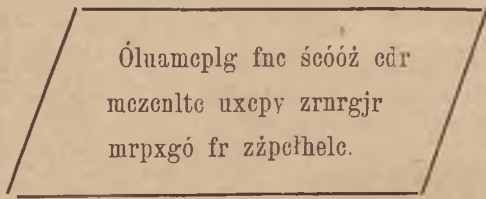
Łamigłówka szufladkowa

(p. Prof. Z. Morawskiego z Tarnowa).

a	a	a	a	e	e	e	e	e
e	e	e	e	e	e	e	e	e
e	e	e	e	e	e	k	k	k
k	l	l	l	l	l	l	l	l
m	m	m	m	n	n	n	n	o
o	o	o	o	o	o	o	r	r
r	r	s	s	s	s	s	s	s
s	s	s	s	s	t	t	t	t
w	w	w	w	y	y	y	y	k

Litery w kwadrat ten wpisane należy uporządkować tak, ażeby każdy bok obwodu pierwszego (zewnętrznego) dał imię jednego z królów egipskich, każdy bok obwodu drugiego, nazwisko historyka polskiego, trzeciego miasto chińskie, czwartego coś z włosów a w niem, narząd zmysłu

Kartka w oknie.



Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **Salesa: „Najnowsze tajemnice Paryża"** w dwóch tomach.

Rozwiązanie łamigłówki z Nru 12.

Kanada — Ordon — Rejent — Namiestnictwo — Eden — Lipiński — u-o — Jarmund — El . . . y — Jukatan — Skutari — Koczowie — Ignac.

Kornel Ujejski — Antoni Odyniec.

Rozwiązanie zadania krzyżowego z Nru 12.

FRYDERYK WILHELM
SEDAN
BISMARCK
FALCK
REN

Dobre rozwiązanie powyższej łamigłówki przysłali:

WP. Zygmunt Smolka; WP. Jan Krzysztofowicz; WPni Wanda Kopacz; WPni Eugenja Łempicka.

Całkiem dobrego rozwiązania zadania krzyżowego nikt nie przysłał. Częściowe przysłali: WPni Wanda Kopacz; WP. Zygmunt Smolka; WPni Łempicka.

Główne błędy polegały w tem, że miasto Sedanu i Falka dwóch nazwisk ściśle związanych z historją Fryderyka Wilhelma i dla tego w tym krzyżu niezbędnych, podawano Widyń, Radom, Kalnoky'ego i Kallaya, których tu żadną miarę nie można pomieścić.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz. Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.